Zeszyt 13. Rok I.



Lwów 25. Kwietnia 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

(C. d.) Podczas gdy profesor rozmawiał z Molską i Marją, Bzowski czytał jeden z listów. Rumiana, wąsem zdobna twarz szlachcica, w miarę odczytywania listu, z chmurnej stawała się uśmiechniętą i zadowoloną. Gdy skończył, zatarł ręce i powstał z krzesełka.

— Maryjko, dziś-jutro dostaniemy gościa. Przyjeżdża do nas Bożycki.

— O! cóż się stało? Wszakże gdyś go prosił ojczulku na wieś ostatnim razem w Warszawie, wymówił się ważnemi zajęciami.

— Stosunki musiały się zmienić i przyjeżdża. Pisze właśnie, że zatelegrafuje kiedy przybędzie, aby mu konie wysłać do dworca. Serdeczniem mu rad! Rozerwę się choć trochę.

— Dawno sąsiad widział pana Bożyckiego? — zapytała Molska.

— Przed dwoma tygodniami, a już mi za nim tęskno. Stary przyjaciel to jak kochanka.

— Zwłaszcza tak serdeczny przyjaciel. Wieleż to lat panowie się znacie?

— Pewnie ze dwadzieścia kilka. Toć jeszcze za kawalerskich czasów, moja sąsiadko — rzekł cicho do Molskiej — za jednemi oglądaliśmy się twarzyczkami.

— Jak słyszę, to pan Bożycki mimo swoich sześćdziesięciu lat i teraz lubi ładne twarzyczki — powiedziała również cicho Molska.

— Konneser, sąsiadko, konneser!... — zaśmiał się Bzowski. — Nie zapomnij powiedzieć Brygidzie, moja Maryjko, aby pokój był dla Bożyckiego przygotowany. Kto wie, jak długo zechce zabawić, a to wygodniś. Niech wszystko będzie w porządku.

— Tatko tak się ucieszył jednym listem, że o drugim zapomniał...

— Prawda! Bodajże cię! — I Bzowski skwapliwie rozerwał kopertę drugiego listu. Podczas gdy ojciec czytał, Marja bawiła się rozerwaną kopertą i oglądała pismo adresu. Tymczasem profesor przysiadł się do Molskiej i patrząc na czytającego brata, zapytał ją z cicha:

— Cóż to za jeden ten Bożycki?

— Stary przyjaciel pana Onufrego, który tutaj dość często przyjeżdża. Stale mieszka w Warszawie. Profesor powinienbyś go znać. Typowa postać...

— Czy pani myśli, że profesor nie ma nic lepszego do roboty, jak poznawać wszystkich warszawiaków? Ja znam tylko tych, którzy się uczą i pracują, a ten do nich z pewnością nie należy....

— Z czegoż to profesor wnosi?

— Z tego, że jest przyjacielem mojego średniowiecznego brata...

W tej chwili twarz Bzowskiego nabiegła krwią i zerwał się tak nagle z krzesła, że przestraszona Marja o kilka kroków się cofnęła i zbladła.

— Onufry! Czy cię tarantula ukąsiła? — zawołał profesor.

Bzowski nie odpowiedziawszy bratu, zmiął gwałtownie list, rzucił go na stół i zaczął biegać po pokoju. Wszyscy spoglądali na niego ze zdziwieniem.

Chodząc po salonie Bzowski wymachiwał rękami i rzucał pojedyncze zdania.

— To bezczelność!... Po raz już drugi! Niedoczekanie jego!... Jak on śmie proponować mi coś podobnego?... Wszelkie wyobrażenie przechodzi, do jakiego stopnia posuwają ci ludzie swoją efronterję!.... O! co nie, to nie... Patrzcie jegomościa!...

— Cóż się stało, ojcaszku?—ośmieliła się Marja zaczepić ojca.

— Co się stało! Co się stało! — irytował się Bzowski, stając przed córką —Niedość, że nam siedzi pod bokiem, intruz jakiś! jeszcze mu się zachciewa ziemi, co z dziada pradziada należała do Porajów Bzowskich!...

— Czy to nie czystej krwi paw — zauważył profesor, zwrócony ku Molskiej. Potem zbliżył się do brata i zapytał: — Powiedzże nareszcie panie Onufry o kogo i o co mu idzie, bo mimo dość długiej tyrady nic a nic nie rozumiemy...

— Cóż sąsiada spotkało tak nieprzyjemnego? — wtrąciła Molska.

— Co? Oto zachciewa się komuś, abym poszedł w ślady Barzykowskiego. Popatrz pani w okno. Te kominy fabryczne, to pomnik głupoty Barzykowskiego! Tfu!...

Profeser roześmiał się.

— Ho! ho! daj go katu, co za wymowa! Kiep Demostenes!... Tylko bieda, że ta filipika Filipa z konopi przypomina. O cóż panu bratu właściwie idzie?

— Idzie mi o to, jak śmie ten przybłęda z końca świata proponować mi interes o ziemię...

— Mnie się zdaje, że proponować zawsze wolno; inna rzecz przyjąć — mitygował profesor.

— Cóż to za przybłęda, ojcaszku? — zapytała Marja.

— A ten cywilizator z Leśnej — zawołał gniewnie Bzowski.

— Bodmer? — przemówiła zdziwiona Molska.

— On, sąsiadko, i to po raz drugi. Ponieważ na pierwszy list nie odpowiedziałem, pisze mi znów i to obszerniej, że zamyśla od swoich zakładów przeprowadzić kolej żelazną do stacji w Ząbkowcach, a że najkrótszą linją byłaby trasa na Bzów, przeto proponuje, abym mu odstąpił grunta pod kolej za wynagrodzeniem jakie sam oznaczę. Wyznaje, że o mój upór rozbijają się jego projekta i nie tylko, że musiałby linję znacznie przydłużyć, obchodząc Bzów jedną lub drugą stroną, ale wyrosłyby ztąd olbrzymie koszta. W razie jeżeli przystanę na propozycję, on założy w Bzowie dworzec dla mojej wygody.

— Dalibóg ładny projekt! — zawołał profesor. — Za jednym zamachem podniosłaby się wartość Bzowa...

— I on tam o tem baje, ale to niemieckie sztuczki... Cała rzecz, że chce potroić zyski ze swych fabryk, a przy tej sposobności wklinować się jeszcze więcej w polską ziemię. Ale prędzej mi tu włosy porosną — pokazał Bzowski profesorowi swoją dłoń — jak on poprowadzi kolej przez moje grunta.

— Hm! Twoja wola — przemówił profesor — ale gdyby odemnie zależało, nie miałbym nic przeciw jego kolei, zwłaszcza, że i dla ciebie zyski z niej widoczne. Z Bzowa do stacji w Ząbkowcach czternaście wiorst gościńcem. Kolej skróciłaby tę odległość najmniej o połowę, przeciąwszy Bzów. Założy ci stację w Bzowie, będziesz miał ułatwioną komunikację dla siebie i dla swoich plonów; twój las zyska grubo na wartości, bo można go będzie wygodniej eksploatować... Wcale... wcale mądry pomysł....

— Niech sobie będzie najmądrzejszy, ja na niego nie przystanę. Trzeba znać Niemców! To szelmy podstępne jak Belzebuby. Niechbym mu tylko pozwolił wstąpić nogą na moją ziemię, a za lat kilka jużby mnie z niej wywłaszczył. Oni to umieją! To pijawki!

— Więc tatko odpisze odmownie? — zapytała Marja.

— Odpiszę? — dziwił się Bzowski. — Ja? Bodmerowi? Nie zastanowiłaś się Maryjko. Takich jegomościów zbywa się milczeniem.

Profesor uśmiechnął się.

— Wiwat staropolska grzeczność! Wie pani — zwrócił mowę do Molskiej — że jak na Bzowskiego, to mój pan brat wcale grzeczny człowiek.

— Może się obrazić, panie sąsiedzie — zauważyła Molska.

— O, mnie dużo zależy na jego humorach! — odburknął Bzowski.

— Sądzę ojcaszku, żeby jednak wypadało... — prosiła Marja.

Bzowski stanął przed córką i gniewnym wzrokiem spojrzał na nią, że dziewczę stanęło całe w płomieniach.

— Ja zaś sądzę — przemówił dobitnie — że ojciec obejdzie się bez uwag i rad córki.

— Czy wolno mi odczytać list Bodmera? — zapytał profesor, chcąc zakończyć tę nieprzyjemną scenę.

Bzowski podał mu zmięty list, mówiąc:

— Czytaj, czytaj te zachwalone przez ciebie mądrości.

Profesor siadł na krześle, wyprostował list, poprawił okulary i czytał. Marja oparta o poręcz krzesła, na którem siedział, cichuteńko szepnęła:

— Pozwolisz stryjku, że i ja przeczytam?

— Pozwalam, moje serce...

Podczas gdy oni list odczytywali, Bzowski żywo rozmawiał z Molską, usiadłszy obok niej na kozetce pod oknem. Przedmiotem rozmowy były żniwa, zbiory, jako sprawy najwięcej obchodzące w tej porze rolników. Tak się zacietrzewili swojemi zwierzeniami,

że nie spostrzegli, jak druga para skończyła odczytywanie listu i cicho ze sobą rozmawiała.

— Cóż stryjek na to mówi? — szeptała Marja z cicha.

— To co i pierwej, że chłopak ma rozum — odpowiedział profesor.

— Chłopak? — zadziwiła się Marja. — Czy Bodmer taki młody?

— W porównaniu ze mną młokos..... Nie ma więcej jak 35 lub 36 lat.

— Ja zawsze myślałam, że to człowiek stary.

— Tak ci się wydawało, bo ma rozum starego. Ale ja ci coś lepszego powiem, moje serce.

— Cóż takiego?

— Że on nie jest Niemcem!...

— A zkądże stryjek wie? Czy mówił stryjowi?

— Gdzieżtam! Rozmawiałem z nim po niemiecku, będąc od was uprzedzony, że jest Niemcem, ale list przekonuje mnie, że nim nie jest....

— List mógł pisać który z jego urzędników...

— Mówiłem ci pierwej, że listy zawsze sam pisze. Tak mnie objaśniono w Leśnej.

— Czyż można z listu wyczytać narodowość?...

— Można, moje serce, jeśli się dobrze zna swój język. List jest napisany tak piękną polszczyzną, takie rodzimo polskie znajduję w nim zwroty, że żaden Niemiec, choćby do języka naszego miał największe zdolności, nie byłby w stanie napisać takiego. Założę się, o co chcesz, że jest Polakiem.

— Jednak nazwisko jego...

— Nic nie dowodzi. Ileż to mamy polskich rodzin z niemieckiemi nazwiskami. Zresztą, ja ci powiem. Gospodaruje nie po naszemu, więc braliście go za Niemca.

— Jeżeli on jest Polakiem, należałoby mu odpisać na list.

— Zaproponuj ojcu, ja nie myślę.

— Nie śmiem stryjku. Znów ojcaszka rozdrażnię.

— Rób jak chcesz. Z upartymi najlepiej z daleka. Bądź pewna, moje serce, że ludzie takiej głowy jak Bodmer dadzą sobie radę nawet bez współudziału naszego i bodajbym był złym prorokiem, że mimo uporu twojego ojca, lokomotywy Bodmera będą niezadługo świstać pod waszym pałacem, śmiejąc się z buty szlagona...

— Ojcaszek by tego nie przeżył!...

— Śmiej się, moje serce. Mamy strawny żołądek. Nie takieśmy klęski przeżyli. — Ostatnie słowa powiedział już głośno i kiwnął ręką. Marja opuściła główkę i zamyśliła się. Słowa profesora zabolały ją. W jej wyobrażeniu ojciec walczący z cywilizatorskiemi zachciankami jakiegoś tam Bodmera i stojący na straży obywatelskich interesów, był człowiekiem prawdziwego poświęcenia, a tymczasem stryj, ukochany przez nią stryj nazywa go pogardliwie szlagonem i sądzi, że cywilizacja w Bodmerze uosobiona przejdzie nad nim do porządku dziennego, jako nad straconą placówką straconej sprawy. Czy to być może? Kto się tu myli? Od lat słyszała ciągle, że ruiny majątków obywatelskich mnożą się, że żywioły obce spychają szlachtę z zajmowanego dotąd stanowiska, że wypierają ją ludzie nowi, ruchliwsi, zręczniejsi. Pojmowała, że dziać się to musi skutkiem przewagi inteligencji u tych ludzi, a z drugiej strony wrażenia młodości, wychowanie całe, pojęcia i serce ciągły ją do obozu, w którym był jej ojciec; serce kazało jej wierzyć, że po stronie ojca jest słuszność i że stryj mylić się musi. Jej dziecięca cześć dla ojca i przekonań jego zamykała jej oczy na prawdy, które wygłaszał profesor.

Nie dano jej długo rozmyślać, gdyż przerwana czytaniem listu ogólna rozmowa, na nowo się zawiązała za przyczyną Molskiej, która jakieś pytanie rzuciła profesorowi.

III.

Leśna, położona na granicy Szlązka pruskiego, liczyła się do wsi, które gęsto rozsiadły się w klinie ziemi między Białą a Czarną Przemszą.

Gdy ją w r. 1863 nabył od Barzykowskiego dzisiejszy właściciel, była niewielką osadą rolniczą, a dworek położony wśród zwykłego wiejskiego ogrodu, rozporządzał tylko 300 morgami pól ornych i szmatem wysokopiennego lasu niewielkiej wartości. Za ten kawałek ziemi zapłacił obecny posiadacz 40.000 rubli, z czego śmiano się ogólnie, gdyż ani obszar, ani jakość ziemi nie odpowiadały cenie kupna; tem więcej, że wypadki ówczesne obniżyły wartość dóbr do minimum. W dziesięć lat później, właśnie w chwili gdy odbywały się opowiadane zdarzenia, nie było w całej okolicy jednego człowieka, którýby się śmiał ironicznie uśmiechnąć, którýby sobie pozwolił szydzić z mniemanej nieświadomości nabywcy.

Z małej osady została Leśna włością ludną i bogatą. Szereg mizernych, dymnych chat włościańskich zniknął prawie wśród licznych, schludnych domków, gontem krytych, a stojące w środku wsi murowane piętrowe domy nadawały jej pozór małego, czystego miasteczka. W domkach mieszkali górnicy i hutnicy bodmerowskich zakładów; w domach piętrowych mieścili się urzędnicy tychże, szkoła, szpital, kasyno, czytelnia. Wieś roiła się robotnikami wszelkich zawodów; szyldy na domkach świadczyły, że w Leśnej przebywają szewcy, krawcy, stolarze, piekarze, kupcy, będący na posługi tej licznej kolonji pracowników, jaką zatrudniały kopalnie i huty właściciela.

Z północnej strony osady rozkładały się kopalnie węgla i rudy żelaznej; z południowej zaś, dopierając prawie do granicy pruskiej, stał zakład hutniczy rozłożony na 50 morgach, otoczony w czworobok wysokim murem ceglanym, z po za którego strzelały w górę wysokie piece do topienia żelaza,

hamernie, gisernie, walcownie i kominy maszyn parowych. Wstęp do fabryki stanowił budynek piętrowy, korpusem swoim z linji muru obwodowego, ku szosie, na kilka metrów wysunięty, w którego przysieniu było trzy bramy: środkowa większa do przejazdu, boczne mniejsze do przechodu, a wszystkie zamykały się żelaznemi, w ażur wyrobionemi wrotami. Piętro cofało się w linję muru, a przez to utworzono od strony szosy, po nad wystającem przyziemiem rodzaj ogromnego terasu, na który prowadziły z pokoi piętra drzwi półszklone, w środku całego szeregu okien umieszczone. Taras ten przekipiał zielonością. Był rodzajem ogrodu pełnego krzewów i pnących roślin, które obejmowały tak balustradę kamienną, jako też pięły się po obramieniach okiennych, pilastrach i gzemsach, pokrywając całą frontową ścianę budynku.

Gdyby nie sterczące z po za budynku kominy fabryczne, gdyby nie ruch wozów i wagonów przez bramę przejeżdżających, gdyby nie uwijanie się osmolonych robotników, dążących bądź z fabryki, bądź do fabryki przez bramki boczne, każdy z patrzących byłby ten budynek wziął za smakownie zbudowaną willę. Był taki wdzięk w formach architektonicznych, taka lekkość i sprawność pomysłu w tym gmachu, że nader zachęcająco i poetycznie odbijał od prozaicznego wnętrza fabryki.

W przyziemiu, po prawej stronie wchodu, mieściły się biura ogólnego zarządu dóbr i dyrekcja huty; po lewej pokoje gościnne dla interesentów mających związki z zakładem; piętro zajmował sam właściciel.

Tak to prezentowała się Leśna w piękny sierpniowy dzień, o dość wczesnej godzinie rannej.

W pracowni Bodmera służący kończył porządkowanie. Był to pokój o dwóch oknach ku tarasowi zwróconych, widny, wysoki, obszerny — a posadzkę jego zalegał jednolity kobierzec. Na środku stało wielkie biuro dębowe, stosami papierów założone, otoczone kilkoma wygodnemi fotelami. Przy ścianach ciemno tapetowanych, stały jedne obok drugich szafy z książkami, lub pulpity dźwigające kartony i teki. Wolne miejsce między oknami zajmowały na ścianach mapy. Nad biurem zwieszała się z sufitu okazała lampa trójramienna. Wszystko świadczyło o zasobności gospodarza, o jego zamiłowaniu w wygodzie i spokoju. Nie było tutaj ani jednego sprzętu niepotrzebnego, ani jednej rzeczy rażącej bezcelowością, którąby się narzucała oku bądź zbytkiem, bądź dziwactwem formy. Cała pracownia nosiła cechę powagi; czuło się, że człowiek, który ją urządzał, urządzał ją dla siebie nie na pokaz, nie dla zatumanienia ludzkich oczu, że on tutaj rzeczywiście pracował i myślał poważnie.

Służący obejrzawszy całą pracownię i przekonawszy się, że wszystko jest we wzorowym porządku, postawił pocztową torbę przy biurku i na palcach wyszedł, jakby się obawiał, aby czynności jego niedostrzeżono.

Wkrótce po jego wyjściu dały się w sąsiednim pokoju słyszeć kroki, portjera usunęła się i do pracowni wszedł Bodmer. Energicznym ruchem ręki przysunął fotel do biura, usiadł i kluczykiem z kieszeni wyjętym otworzył torbę pocztową. Wyjął z niej paczkę listów i kolejno z uwagą odczytywać zaczął. Możemy wygodnie przypatrzeć się cywilizatorowi podczas tego zajęcia.

Wysokiego wzrostu, silnie i zgrabnie zbudowany, o uderzająco inteligentnej twarzy, okolonej krótko strzyżoną brodą i zdobnej pokrętnym wąsem, należał do mężczyzn bardzo przystojnych; do tych, którzy wszędzie muszą na siebie zwrócić uwagę — niepowszedniością postaci. Na jego ściągłej, ostro zarysowanej twarzy leżał wyraz surowej powagi; zacięcie ust i zmarszczka między brwiami, zdradzały niepomierną energję i stanowczość woli, jak znowu wyraz czarnych wielkich oczu, zimny, badawczy, przenikliwy, zdradzał człowieka przyzwyczajonego do panowania nad sobą i nad drugimi. Blada twarz spokojną była; wewnętrzną pracę mózgu zwiastowały tylko drgania nerwów na skroniach i wysokiem czole, namarszczenie brwi, rozchylenie się nozdrzy. Kto dłużej patrzył na tę twarz, temu musiała się nasunąć uwaga, że była to twarz bez uśmiechu wesela, że rozpromienienie duszy zadowolonej z siebie i świata nie pojawiło się w tych rysach i dlatego, mimo rzeczywiście męzkiej piękności, młody ten człowiek nie obudzał sympatji — jedynie tylko poszanowanie.

Ubiór niewykwintny ale zgrabny podnosił wdzięk postaci, której całe wzięcie zwiastowało człowieka niedbającego o pozory. Patrząc na Bodmera, artysta powiedziałby, że było w nim idealne uosobienie fizycznej i duchowej siły męzkiej. Na korpusie Herkulesa siedziała głowa poważnego mędrca i wydawało się, że tenże nie przeszedł wcale burzliwych chwil młodości i w życiu stanął od razu jako dojrzały mężczyzna.

Spokojny był, marmurowo zimny i tylko konwulsyjne drgnienie małych ust, błyskawiczny rzut oka, zaciśnienie ręki zdradzało kiedy niekiedy, że i w nim leżały głębokie namiętności, którym tylko brakowało sposobności do wybuchu.

Przeczytawszy listy, powstał i przeszedł się po pracowni. Po kilku chwilach stanął przed oknem i patrzył na okolicę. Z pomiędzy krzewów tarasu widział swoje kopalnie, osadę; na widnokręgu dalszym rysował się pałacyk w Bzowie, dwór w Grzmotach i lasy do niego należące. (C. d. n.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XVII.

(C. d.) W parę tygodni po swem przybyciu, Joanna raz poszła do brata i długą a poważną z nim miała rozmowę. Mówiła, że Miller rujnuje się najwidoczniej, że go tu wszyscy kradną, że ona nic nie wie i nie pyta się wcale o to, co się dzieje zewnątrz domu, ale za to wewnątrz uorganizowany rozbój na wielką skalę.

— Mina — dodawała — niczem się nie zajmuje. Wątpię nawet, czy wie gdzie jest kuchnia i spiżarnia, wszystkiem rządzi gospodyni i kradnie okropnie. Od dwóch tygodni badam te rzeczy i mam pewne przekonanie, dowody prawie, że tak jest. Czas jest już temu koniec położyć Fryderyku. Może się rozgniewasz, ale ja ci muszę powiedzieć, że nie mogę pozwolić na to, by cię tak haniebnie okradano.

— Ale moja Joe, czegoż ja się mam gniewać? Owszem, wdzięczny ci bardzo za to jestem. Ale czy tobie tylko się nie zdaje? Zawsze patrzałaś i patrzysz na świat czarno. Gospodyni wydaje mi się uczciwą kobietą, ma jak najlepsze świadectwa — odpowiadał Miller.

— Świadectwem najlepszem są moje oczy. Wiem co mówię i mówię to na pewnych podstawach. Gospodyni cię kradnie haniebnie. Czy tu wreszcie potrzebna jest gospodyni? po co trzymać darmozjada i złodziejkę? Dom nie jest wielki i kucharka z pomywaczką aż nadto do kuchni wystarczą. Takie jest moje zdanie.

— Więc dobrze, cóż mi radzisz robić? — pytał Miller.

— Pomów z Miną, niech mi pozwoli objąć zarząd domowy, niech odda pod me rozkazy służbę. Nie wydalę nikogo z tych, co są do pokoi, w niczem nie zmienię sposobu życia, ale zaoszczędzę ci paręset złotych na tydzień. Pomów o tem Fryderyku z Miną, nie chcę bowiem wchodzić w jej atrybucje, jako pani domu.

Mówiła to wszystko swym tonem zimnym, spokojnym, bez wzruszenia, uniesień i gniewu. Działało to jak zimna woda na Millera.

— Dobrze — odrzekł — pomówię z żoną.

Mina chętnie się na to zgodziła. Nie po to przecież wyszła za mąż za starca, żeby się zajmować miała kuchnią i wydawaniem kaszy. Jeżeli to ciocię Joannę bawi, to i owszem. Niech sobie rządzi, niech wydala i przyjmuje kogo chce. Jej to wszystko jedno.

Jakoż pod energiczną i spokojną ale pewną siebie ręką Joanny wszedł zaraz inny ład i porządek do domu. Służba dotąd chodząca samopas, uczuła nad sobą oko pańskie, i wszystko robiło się lepiej, składniej i szybciej niż dawniej. Ale zajęcia Joanna miała bardzo wiele i nie zawsze mogła pilnować Miny, którą mocno już teraz podejrzywała o umizgi do Julka Zaremby.

Jednego dnia Joanna wybrała się do Stopnicy na jarmark po zakupno niektórych zapasów; kazała rano zaprządz sobie do bryczki i w towarzystwie jednej służącej puściła się do miasta. Mina dowiedziała się o tem przy śniadaniu, a Julek, któremu mocno dokuczała obecność starej panny, znacząco spojrzał na młodą kobietę. Po śniadaniu Zygmunt Zaremba wybrał się do Buska i w domu została tylko pani Łucja, Mina i Julek. Panna Karolina poszła do kościoła a Miller wybrał się na pół dnia do lasu, gdzie miano rozpocząć porębę, bo postanowił już część lasu sprzedać, żeby przecie coś z majątku wyciągnąć.

Pani Łucja otrzymawszy po tygodniu nieczytania całą paczkę „Figara“, usadowiła się wygodnie na tarasie i oddała się z zapałem przeglądaniu fejletonu i skandalicznych nowostek, w które gazeta ta tak obfituje. Mina siedziała przy stole i milcząc obrywała listki z róży, któremi zasypała wkrótce całą posadzkę tarasu i białą suknię swoją. Jak krwawe plamy te listki wyglądały na sukni. Obnażone po łokcie ramiona podnosiła co chwila do pałającej twarzy, ale nie śmiała spojrzeć na Julka, który niespokojnie chodził po tarasie.

Nagle Julek stanął i rzekł:

— Wie pani co, pani Miller, chodźmy obejrzeć ruiny zamku. Jeszcze tam nie byłem. Co my tu będziemy robili? Bratowa zaczytana w „Figarze“...

Pani Łucja spojrzała na niego z po za gazety i nic nie odrzekła, a Mina odpowiedziała:

— Och, na takie gorąco! cóż znowu? Chcę wreszcie uporządkować nieco pokoje. Nie podoba mi się rozstawienie mebli, nie widziałam nawet wszystkiego. Zabieram się do tego oddawna i jakoś nie mogę... Ale trzeba to raz zrobić.

Mówiła to nie patrząc na Julka, ale czując na sobie rozgorączkowany jego wzrok. Wstała i dodała:

— Muszę zawołać Józefa, żeby mi dopomógł.

Wyrzekłszy to, wyszła.

Julek postał chwilę, zakręcił się i pobiegł za nią.

— Po co ci Mino Józef? — mówił drżącym głosem dogoniwszy młodą kobietę — ja chętnie dopomogę.

Nic na to nie odpowiedziała ale szła dalej. Weszli do maleńkiego pokoiku, na suficie którego Łabędź całował Ledę. Ciężkie, purpurowe story na oknach, osłaniające od palącego słońca, trzymały cały ten pokoik w mrocznym półcieniu. Było tu niezmiernie gorąco. W tym gorącu, w tym mroku półkrwawym, wszystkie złocenia i ozdoby pokoju, całe to rozpustne otoczenie dyszało jakąś wrzącą atmosferą, która zdawała się przelewać żar do krwi Julka.

Oboje znalazłszy się tutaj uczuli się w obec siebie dziwnie nieśmiali. Ona stanęła przy oknie i wziąwszy jakąś suto inkrustowaną szkatułkę ze stolika, poczęła ją oglądać starannie, nie śmiejąc podnieść wzroku na młodego człowieka. Nie wiedziała zresztą gdzie ma podnieść oczy. Nie chciała patrzeć przed siebie, bo z komina Amor łuk naciągał, jakby chciał wprost do niej strzelić; ani też w górę, bo tam Łabędź w purpurze pokoju i w duszącej jego atmosferze zdawał się coraz namiętniej całować Ledę...

Kłopotliwe milczenie przerwała Mina. Poczęła mówić o pięknościach szkatułki, którą trzymała w ręku, o jej bogatych inkrustacjach i o tem, że jest zamknięta, a kto wie, co może we wnętrzu swym chować.

Potem stawiając szkatułkę na jej miejsce i zmieniając nagle przedmiot rozmowy, zapytała się:

— Powiedz mi pan, dlaczego pan Zygmunt taki smutny i jest jakoś niedobrze ze swą żoną...

— Zygmunt smutny, bo się kocha — odrzekł Julek.

— Tak? a w kimże?... czy zawsze w tej aktorce?...

— Tak. Do niej poleciał dziś do Buska, dokąd wczoraj miała przyjechać...

— I kocha się w niej naprawdę?

— Naprawdę.

— Mając tak śliczną żonę...

Nie skończyła, bo Julek stał już przy niej. Oczy mu się świeciły jak dwa ognie błędne.

— Co mię tam Zygmunt obchodzi! — zawołał — nie o tem chcę z tobą Mino mówić.

Objął ją w pół, przyciągnął do siebie i obsypując pocałunkami szeptał:

— Ja ciebie kocham, ciebie jedynie!

Chciała mu się wyrwać ale nie mogła. Ubezwładniało ją duszące gorąco pokoju i siła męzkich ramion.

Przyciągnął ją do kanapki stojącej przy ścianie i w ciszy tego pokoiku, ciszy przerywanej tylko stukotem starego zegaru, utonęli w wzajemnym namiętnym uścisku...

Nic nie przerywało ich upojeń miłośnych. Od okien zakrytych ciemnemi firankami padały na nich purpurowe cienie, z sufitu Łabędź uśmiechał się do Ledy, a Amor z kominka zdawał się coraz silniej łuk naciągać. W około nich panowała niczem niezamącona cisza letniego, skwarnego dnia. Za oknem brzęczały tylko muszki bujające wśród blasków słonecznych i czas płynął powoli, niepowstrzymanie w przyszłość...

Nakoniec wyrwała się z jego objęć, zakryła twarz oburącz, twarz czerwoną jak róża i uciekła.

Został sam.

Julek wstał, przeszedł się odgarniając włosy z czoła i obcierając twarz kroplistym potem okrytą. Czuł w sobie dumę jakąś i jakieś nieograniczone zadowolenie. Siadł na kanapie, na której przed chwilą oddała mu się jedna z najpiękniejszych kobiet, której uściski i pocałunki paliły jeszcze rozgorączkowaną jego twarz. Siedział i myślał. Patrzał błędnemi przed siebie oczami na kwiaty obicia wypłowiałe przez czas, na zczerniałe złocenia sufitu i na nagą Ledę nad nim... Nie mógł zebrać myśli. Maleńkie, na cienkich, złoconych nogach meble z czasów Ludwika XV, zdawały się tańcować w jego oczach. Odpoczywał, oddychając ciężko.

Powoli ogarniało go niezwalczone znużenie i zniechęcenie umysłowe. Czarna zmora pesymizmu podnosiła znowu w tej młodej duszy swą głowę. Wydawało mu się teraz wszystko ogromnie głupiem na tem świecie, nicością i marnością Salamonową. Innemi oczami patrzał teraz na tę kobietę, którą trzymał przed chwilą w swych ramionach upojoną miłością, a za posiadanie której byłby dał dziś jeszcze rano pół swego życia. Teraz wydawała mu się tylko pustem narzędziem rozkoszy. Jej białe ramiona, których twardość czuł jeszcze na swej szyi, a które rysowały mu się przed oczami z wyrazistością, nie budziły już w nim żądzy. Wyciągnął nogi przed siebie, głowę oparł o poręcz kanapki i patrząc a nie widząc nic, pytał się głosem olbrzymiego zniechęcenia:

— Ty, co tam w przestrzeni dumasz, czyś mię widział? i po coś to wszystko zrobił?...

Nic mu nie odpowiadało. Zegar mierzył czas z niczem nienaruszoną jednostajnością, w pokoju rozlegały się głuche szmery pustki i ciszy, ze dworu, z za okna okrytego czerwoną zasłoną dobiegało tajemne skwarzenie się powietrza pod wpływem palących promieni słońca.

Wstał, wziął swój kapelusz słomiany, rzucony na podłogę i wyszedł. Ale nie poszedł na taras, gdzie widział przez otwarte drzwi, jak jego bratowa leżała w fotelu, mając wyciągnięte swe maleńkie, ślicznie obute nóżki na taborecie. Leżała tyłem zwrócona do drwi i czytała ciągle „Figara". Przemknął się cicho przez salę i wydostał się na ganek od frontu. Na dziedzińcu drzewa w upale słońca czerwcowego zdawały się drzemać. Kilka kur grzebało się w piasku na środku ścieżki, a fontanna szemrała smutnie. Na jej basenie siadały gołębie i czerpiąc dzióbkami wodę, piły ją chciwie, albo też w niej się trzepotały. Choć upał był ogromny, jednak było tu chłodniej jak w ciasnym, zadusznym pokoiku, gdzie zdawały się jeszcze unosić resztki żaru miłosnego. Przez kolumny ganku przewiewał lekki wietrzyk. Julek zdjął kapelusz i chłodził rozpalone czoło na tym wietrze.

Właśnie nadjechał Miller z lasu. Był mocno zgrzany, ale wesoły. Las był ładny i spodziewał się go dobrze sprzedać. Nie zniszczy go jednak, ale urządzi gospodarstwo leśne i będzie co rok rąbał częściowo. Będzie miał śliczny i stały dochód. Ziemia to jedyne bogactwo, byle umiejętnie ją eksploatować.

Teraz w kraju są tylko dwa zajęcia przynoszące istotną korzyść, mające na ostatecznym celu dobro ogólne: rola i przemysł.

Mówił to usiadłszy na ławce przy Julku. Był wesoły, uśmiechał się i unosił. Poetyczne porównania sypały mu się jak z rękawa. Wyjął cygaro, obciął je starannie i zapalił.

Na Julku dziwnie przykre robił wrażenie ten mąż, któremu on przed chwilą uwiódł żonę. Wesołość starego Millera padała mu ciężko na serce. Żal mu było tego poczciwego kupca i zły był na siebie. Słuchał słów Millera i milczał, tonąc wzrokiem w dalekiej przestrzeni ozłoconej słońcem, ubłękitnionej lazurami nieba. Złocisty pył rozproszonych promieni słonecznych, unosił się, migotał, drżał w powietrzu. Lśniące szmaragdami swych skrzydeł muszki siadały tuż przy nim na poręczy ławki. Fontanna szemrała wciąż melancholijnie i gołębie się wciąż pluskały.

— No i o czem myślisz młodzieńcze? — pytał Miller — czy nie mam racji? Rola i przemysł...

— Na co się to wszystko zda! — przerwał mu Julek — nie warto zachodu to życie. Nicość, to ostatnie słowo stworzenia i podobno najmądrzejsze słowo.

Wstał, włożył na głowę swój duży, słomiany kapelusz i poszedł na drogę. Miller został sam. Patrzał przez chwilę za odchodzącym i rzekł:

— Straszna ta młodzież teraźniejsza. Wyziębione to do głębi. To już nie marznące ale zmarzłe fale. Biedny kraj!

Zerwał się machając ręką i poszedł szukać swej młodej żony. (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(C. d.) — Proszę mnie nie obrażać! — zawołał Gilbert. — Znosiłem latami jarzmo pańskiej niewoli, pomny na dobrodziejstwa, których doznałem, ale wszystko ma swoje granice. Czuję głęboką wdzięczność dla pana, ale to nie po ludzku chcieć zagarnąć tylko dla siebie i swego widzimisię całe życie a nawet całą przyszłość człowieka, dla tego że mu się świadczyło dobrodziejstwa.

— Brawo! — podszepnął Henryk.

— Ale, jak powiedziałem — ciągnął Gilbert dalej — raz musi się to skończyć i jeżelibyś pan zechciał mnie gwałtem zatrzymać, porozbijam drzwi i okna.

— Panie profesorze, uciekajmy! — wołał Marcin od drzwi, oglądając się po za siebie, czy ma tam wolne przejście, lecz doktor stał w oniemieniu i nie wątpił, że potulny dotychczas i łagodny uczeń dostał napadu obłąkania. Nabrawszy raz tego przekonania, zmienił od razu taktykę i jako biegły psychiatra z innej strony wziął się do nieszczęśliwego asystenta.

— No, no! uspokój się, mój chłopcze! — tłómaczył teraz łagodnie. — Jakoś to będzie. Teraz idź do łóżka, dam ci co na uspokojenie nerwów, a Marcin...

— Marcin niech mi się nie waży pokazywać na oczy, a receptę potrafię sam sobie zapisać! — krzyczał wzburzony Gilbert, podrażniony przypuszczeniem, że go mają za obłąkanego.

Marcin dawno się już ulotnił z pokoju i z daleka przysłuchiwał się dalszej rozmowie, nie tając uczucia zgrozy i oburzenia. Eberhardt starał się ponownie ułagodzić rozszalałego młodzieńca, ale bezskutecznie i ani się spostrzegł, jak tenże zakrzyczał i zawojował go zupełnie.

— Teraz dosyć tego! — krzyczał asystent. — Albo mi pan dasz święty pokój, albo przyjdzie do strasznej awantury!

Henryk uznał za stosowne położyć kres gwałtownemu zajściu i ująwszy Gilberta za ramię, zaczął mu przemawiać do rozumu, co natychmiast odniosło pożądany skutek, poczem szepnął mu do ucha, żeby niezwłocznie opuścił dom Eberhardta i poszedł prosto do gospody.

Gilbert ślepo słuchał wszystkich wskazówek, udzielanych mu przez swego mentora, to też chwycił za kapelusz i zwrócony do doktora rzekł:

— Żegnam pana! Nie spocznę aż panu oddam wszystko, coś wyłożył na moje kształcenie i utrzymanie. Miłości nie zaznałem, a więc nie mam obowiązku odpłacać nią... Żegnam! — z temi słowy wyszedł z pokoju.

Eberhardt dopiero teraz się opatrzył, że jego wychowanek nie straszy, lecz na serjo go opuszcza, rzucił się za odchodzącym i rozpaczliwym głosem wołał Marcina na pomoc, ale ten ukrył się w najciemniejszy kącik i nosa nie pokazywał, a jego samego powstrzymał Henryk, przedkładając, że nie ma prawa gwałtem zatrzymywać człowieka, który nie chce u niego pozostać.

— Jak to, pan stajesz po jego stronie? — zawołał Eberhardt, wściekły rozpaczą. — Dowiedz się zatem, że ten warjat kocha się w tej.... małej.... no, w pańskiej narzeczonej i jeżeli go nie zatrzymamy, sprzątnie ci pannę i posag z przed nosa.

— Spuść się w tej mierze na mnie, a wszystko skończy się dobrze — uspokajał Henryk wzburzonego doktora.

— Tylko pan jeden możesz tu zaradzić... Ożeń się pan co prędzej z tym małym szatanem i zabierz ją sobie do stolicy.... Gilbert zapomni o niej prędko, jak mu zejdzie z oczu. Żenisz się pan? — nagabywał niecierpliwie eskulap, targając za rękaw wyrywającego się Kronega.

— Żenię się! żenię! — upewniał tenże. — W tym tylko celu przyjechałem z miasta.

— Chwała Bogu! — odetchnął Eberhardt, któremu przyszła zbawienna myśl wziąć Gilberta pod klucz i zamknąć aż do odjazdu Henryka i Andzi. Obejrzał się za Marcinem a nie spostrzegłszy go, zawołał.

— Wyleź raz ty tchórzu! Hej Marcin!

Wywołany pokazał ostrożnie głowę ze spiżarki, przytrzymując obydwiema rękami drzwi, gotów schować się co prędzej do bezpiecznej kryjówki, gdyby co groziło.

— Nie ma go już? — zapytał trwożliwie.

— Nie ma!

— Panie profesorze, to było straszne! — wyrzekał stary famulus z komiczną powagą.

— Gilbert ma energję. Ktoby się był spodziewał, że ten niuńka tak nam wsiądzie na kark. Krzyczał i tłukł naokoło siebie jak opętany, niech go...... — mówił doktor jakby do siebie z pewnym podziwem. — Ale teraz zostaw nas z tym panem.

Marcin usunął się do biblioteki, tymczasem doktor otarł chustką spocone czoło i usiadłszy naprzeciw Henryka, zaczął:

— A zatem żenimy się, to już nie ulega wątpliwości? Kiedyż wesele?

— Czem prędzej, tem lepiej. Przedtem jednak jedno jedyne pytanie. Przypomnisz pan sobie zapewne naszą pierwszą rozmowę przed rokiem, tam w bibliotece? Przychyliłeś się pan wtenczas do mojej prośby, zbadałeś stan zdrowia pani Rehfeld, a nawet posunąłeś swą dobroć do skrajnych granic i wziąłeś ją w kurację. Nie potrzeba być bardzo domyślnym, żeby zgadnąć jak wiele mi na tem zależy, dowiedzieć się czegoś pewnego w tym kierunku.

Oczy doktora zabłysły złośliwem szyderstwem, a uśmiech sarkastyczny zarysował się w kątach ust.

— Tak! coś sobie przypominam — odrzekł od niechcenia. — Chodziło tam o jakieś sprawy pieniężnej natury. Żeń się pan, żeń! pozorne polepszenie, które tem pewniej oznacza bliski koniec, ostatnie pobłyski zwykłe u suchotników i pańska teściowa w tem stadjum się znajduje. Wypadek był już w samym początku bez wyjścia... tylko patrzeć kiedy się przejedzie na tamten świat.

— Rozumiem pana! — rzekł Henryk całkiem spokojnie, ponieważ przewidywał taką odpowiedź, ale miał przygotowaną broń na upornego eskulapa i był pewnym, że dobędzie z niego prawdy. Nie wychodząc więc z ogólnego tonu rozmowy, dodał niby od niechcenia:

— W każdym razie diagnoza doktora Mertensa sprawdziła się zupełnie.

— Kto to powiedział? — zapytał Eberhardt gwałtownie.

— Pan sam przed chwilą! słowo w słowo powtórzyłeś pan twierdzenie Mertensa, który po zbadaniu pani Rehfeld żadnej nie robił nadziei. Prawdopodobnie biedna kobieta odda się jemu napowrót w ręce i w tym celu zapewne wybiera się do stolicy.

— Do stolicy? żeby się oddać w łapy temu rzeźnikowi? Nic z tego mościa pani! nie pozwalam! — krzyczał Eberhardt, biegając po pokoju.

— Ani pańskie krzyki, ani zakaz nic tu nie pomogą. Pani Rehfeld musi jechać do stolicy dla ważnych interesów i dłużej tam zabawić, a że tam nie może korzystać z pańskich rad, nic naturalniejszego, że powierzy się pierwszemu lekarzowi — perswadował Henryk spokojnie.

— Toby mi się podobało! — wykrzykiwał Eberhardt. — Więc kiedy ja po roku żelaznej pracy i wysileniu całej mej umiejętności, doprowadziłem tę jejmość do obecnego stanu, gdzie już tylko kilka miesięcy oddziela ją od zupełnego wyzdrowienia, to teraz ten dudek Mertens weźmie ją w ręce i sława uratowania tej nerwowej pani jemu przypadnie w udziale. Za pozwoleniem, moi państwo! zdaje mi się, że mam prawo założyć moje weto i nie pozwolić sobie sprzątnąć tak ni ztąd ni zowąd własnej zasługi.

— Przed chwilą utrzymywałeś pan... — wtrącił Henryk, ale Eberhardt nie dał mu skończyć i przerwał z groźną miną:

— Mówiłem, mówiłem, bo mi się tak podobało i nie chciałem przed czasem ogłaszać na wszystkie cztery wiatry mego sukcesu. A teraz mówię stanowczo, że pani Rehfeld jest już zdrową, zdrową jak pan, jak ja.

Henryk powstał i przystąpiwszy do doktora, zapytał:

— Więc to co pan mówisz obecnie nie ulega już żadnej wątpliwości?

— Żadnej! wiem że się to panu nie podoba, bo razem z wyzdrowieniem pani Rehfeld wzniosłe nadzieje pańskie bogatej sukcesji poszły do wszystkich djabłów, ale tak jest! — wyrecytował doktor z niekłamanem zadowoleniem, mierząc Henryka pogardliwym wzrokiem.

— A więc to prawda! — wykrzyknął Henryk, chwytając w pół osłupiałego doktora. — Ewelina uratowana!

— Ewelina?... co się temu znowu stało? — mówił Eberhardt do siebie, patrząc z niedowierzaniem na Henryka. — Czyżby i jemu się co pokręciło w głowie?

Ale niebawem wyprowadził go Henryk z niepewności.

— Gniewaj się teraz doktorze, wymyślaj lub przeklinaj mnie, wyrzuć nareszcie za drzwi, to mi wszystko jedno.... uratowałeś mi Ewelinę! dzięki ci stokrotne! jestem najszczęśliwszym z ludzi! — wyrzucił jednym tchem uszczęśliwiony młodzieniec, nie będąc dłużej panem siebie. Jeszcze raz uściskał wyry-

wającego się z objęć doktora i wycałował wiecznie zachmurzone jego oblicze.

Eberhardt chwilkę patrzył na te wybuchy niepomiernej radości, potem uderzył się ręką w czoło i wyrzekł tylko:

— O! ja osioł!

Nastąpiła dłuższa przykra pauza. Henryk zbliżył się do doktora i przemówił serdecznie:

— Wybacz mi doktorze, że uciekłem się do niekoniecznie godziwego sposobu, ale nie miałem wyboru. Jedyna nadzieję pokładałem w panu, wiedząc że przed kilku laty w podobnym wypadku cudem uratowałeś pacjenta... Prosić pana na nic by się nie przydało, przekonał się o tem mój ojciec i mała moja kuzynka, nie pozostało mi więc nic innego, jak spekulować na pańską nienawiść do ludzi, a byłem prawie pewny, że nie puścisz płazem sposobności i całą wiedzę wezwiesz na pomoc, byle podłemu spekulantowi na sukcesję, jakim się panu przedstawiłem, pokrzyżować rachuby. Z drugiej strony słyszałem o nienawiści jaką żywisz do Mertensa i chyba nie byłbym znawcą ludzi, gdybym nie był liczył na pewno, że zwalić jego teorję, uratować chorego, którego on odstąpił, sprawi ci prawdziwą rozkosz.

Eberhardt zachmurzył się i ze zwyczajną szorstkością, tym razem jednak nie bez goryczy odrzekł:

— Przyznam się panu, że to nie bardzo szlachetnie liczyć na czyjąś słabą stronę i wyzyskać ją chociażby dla uczciwych celów, a wręcz już nieprzyzwoicie, wyzyskawszy, drwić sobie ze starego głupca, którego wziąłeś na lep.

— Drwić z człowieka, który mi uratował co mam najdroższego? — przerwał Henryk szybko — nie doktorze! Dla tego dobroczyńcy mam tylko największą wdzięczność i spodziewam się dowieść mu, że na świecie prócz sobkostwa i wyrachowania, znajdą się jeszcze inne wznioślejsze uczucia. Na mnie nie powinienbyś się gniewać, kochany doktorze, już przez wzgląd, że jesteś jedynym sprawcą mego szczęścia.

Eberhardt spojrzał w szczerą, uśmiechem szczęścia promieniejącą twarz młodzieńca i wnet wypogodził oblicze, poczem przystąpił bliżej i uderzywszy silnie w wyciągniętą ku sobie dłoń, rzekł serdecznie:

— Masz słuszność! Innym sposobem byłbyś mnie nie dostał i za żadną cenę nie byłbym się podjął kuracji tej kobiety, ale powiedz mi ty... ty mędrku ze swemi czarnemi, poczciwemi oczyma, kto cię nauczył tak głęboko wglądać w serca ludzkie, że nawet u takich starych mruków jak ja musisz się doczytać ukrytej prawdy? Cieszę się, że te błyszczące oczy nie kłamały! W żaden sposób nie mogłem się z sobą pogodzić, żeby za tem otwartem spojrzeniem siedział nikczemnik i gniewało mnie to — przy tych słowach powtórnie uścisnął z zadowoleniem rękę Henryka, ale w tejże chwili jak gdyby się ocknął ze snu, odskoczył i wykrzyknął:

— A co się stanie z tą małą? Ona musi pójść za mąż!

— Pójdzie bezwątpienia i to za doktora Gilberta prawdopodobnie — odpowiedział Henryk. — Nie żżymaj się, panie profesorze, bo prędzej czy później trzeba się z tą myślą pogodzić, ponieważ nie ma prawnego tytułu do przeszkody, ale teraz puszczaj mnie pan za tym młodym człowiekiem, żeby w napadzie uniesienia nie popełnił jakiego szaleństwa.

Henryk wybiegł szybko z pokoju i podążył za Gilbertem, który o kilkaset kroków od domu oczekiwał swego mentora.

Tymczasem doktor przeszedł do biblioteki, gdzie Marcin porządkował i w wściekłym humorze mierzył posadzkę olbrzymiemi krokami. Marcin spoglądał ukradkiem na profesora i poznał, że coś nowego musiało się zdarzyć, co go w taki humor wprowadziło, chcąc więc wybadać, zaczął z daleka, pytając:

— Czy pan Kroneg już wyszedł?

— Poleciał! — odburknął profesor. — Ten także zakochany i to w swojej świekrze. Niech ich! — i krzesło prysło jak szklanne w uścisku rozszalałego gniewem eskulapa.

— Panie Boże! miej nas w swojej opiece! — wygłosił Marcin, wznosząc ręce do góry. — A mówiłem zaraz, jak się w domu zjawiła kobieta, że nieszczęście nas nie minie... otóż mamy. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Skończył się listopad, miesiąc najbardziej ponury z całego roku.

Grudzień zaczął popisywać się od razu zimnem dokuczliwem i śnieżnemi zamieciami.

Przyroda do reszty obumarła ułożyła się do długiego snu pod białą, puszystą pierzynkę.

Maks przez całe tygodnie unikał drogi, prowadzącej przez łąkę i pod dom przez Martę zamieszkały. Miał jeszcze choć tyle uczciwości, iż pragnął Marcie oszczędzić widoku człowieka nędznego, bez krzty woli, który jej miłość szczerą, gotową do największych ofiar, odwzajemnił najnikczemniejszem złamaniem danego słowa.

Dnia jednego atoli wracając z ćwiczeń za miastem, jak zwykle ponuro zamyślony, ani wiedział, kiedy znalazł się pod starą olchą. Zbudziło go z zadumy kilka szczygłów, spłoszonych jego widokiem i rozlatujących się na wsze strony z piskiem przeraźliwym. Na ich widok opanowała go taka tęsknota, że nie był w stanie oprzeć się pokusie. Popatrzy choć z daleka na okna Marty. Czy też już kwitnie rezeda, róże miesięczne i heljotrop? A może i ją zoczy z piękną główką, o czystym klasycznym profilu, z dużym, ciemnym warkoczem, pochyloną nad krosnami; może

mu się mignie rączka delikatna, tak szybko i zręcznie igłą malująca?

Nie było jednak w oknie ani kwiatów, ani lubej twarzyczki Marty.

Natomiast o mało się nie wywrócił na saneczkach, wpadających mu pomiędzy nogi. Murarz zlepił takowe po prostu, przeciąwszy wzdłuż starą beczułkę od śledzi i wsadziwszy ją na sanice, również nader pierwotnej natury. Dzieci jednak uradowane tym darem wspaniałym, wsadziły w łupinkę orzecha małego Leopolda, swojego braciszka najmłodszego, i sankowały go wśród wybuchów śmiechu.

Maks zatrzymał najstarszego, a głaszcząc go po twarzyczce pyzatej, spytał głosem drżącym:

— Co porabiają pani sędzina i panna Marta?

Chłopak nachmurzył się i bąknął z widoczną niechęcią, mierząc Maksa wzrokiem nieprzyjaznym:

— Pani sędzina ciężko chorowała, ale już zdrowa; a panna Marta pojechała do Berlina i więcej tu nie wróci.

— Wio! wio! — trzasnął Leopold biczykiem, tupiąc niecierpliwie nóżkami o dno sanek zaimprowizowanych.

Maks spuścił głowę jak winowajca i czem prędzej zawrócił ku miastu.

Chłopak murarza spojrzał za nim prawie z nienawiścią i w poczuciu sprawiedliwości, tkwiącem głęboko w umysłach dziecięcych, których nie wypaczyły jeszcze sofizmata filozoficzne, zrobił wielką kulę ze śniegu i rzucił nią za odchodzącym.

Maks nie uczuł nawet uderzenia. Utonął cały w bolesnej zadumie, że Marta odjechała ztąd na zawsze. I na cóżby mu się było przydało, gdyby dalej w jednem mieście z nim mieszkała? Na nic!

A jednak... Mógł przynajmniej gonić za nią myślami, kiedy niekiedy usłyszeć kogoś mówiącego o niej.

W świecie szerokim, w tłumie i wirze wielkostołecznym i ślad po Marcie zaginie, jak się zacierają wśród śnieżystej zamieci misterne rysunki, które kreślą na drodze drobnemi stopkami kuropatwy.

* * *

Pod koniec grudnia niebo się cokolwiek wyjaśniło: lazur blady zdawał się wysoko, bardzo wysoko po nad ziemią zawieszony, a słońce przebijało się niby przez puder brylantowy, w powietrzu latający.

Ulica kasztanami wysadzana wyglądała jakby na niej rzędem ustawiono olbrzymie kandelabry kryształowe. Łąka lśniła brylantami. I cały park Löwensternów przywdział również szatę śnieżną, a drzew wierzchołki przypominały upudrowanych markizów. Łabędzie i inne pyszne wodne ptaki pozabierano do ciepłej izdebki; staw duży w głębi ogrodu pokrył się grubą płytą lodu, wygładzonego jak zwierciadło.

W pałacu Löwensternów mimo doskonałego, ogrzania mesmerowskiego, szyby olbrzymie porysowały się fantastycznie w kwiaty lodowe.

Detlew dumał w postawie półleżącej na otomanie, obitej pyszną perską materją, w swoim okrągłym saloniku, przeznaczonym do palenia tytoniu.

Dżon, przysunąwszy swojemu panu stoliczek z całym przyrządem z usłużnością i cichością kamerdynera inteligentnego i wyćwiczonego, na palcach ulotnił się natychmiast. Przerzucał on codziennie pańskie dzienniki i zajmywał się wielce polityką. Wiedział zatem, iż: chory człowiek, vulgo Turcja, tam gdzieś na dalekim wschodzie, potrzebuje grubej pożyczki. Udział w tejże Löwensternowi proponowano. Nie daremnie założył fez turecki na głowę i pali fajkę na długim tureckim cybuchu. Pewnie rozmyśla: dać?.. czy nie dać?

Pożyczki Löwenstern wręcz odmówił „choremu człowiekowi“. Umysł jego pracował nad rozwiązaniem zupełnie innej zagadki. Czy nastąpi ostatecznie katastrofa spodziewana? i Roman zerwie wszelkie stosunki z domem Althausów?.. a następnie, czy zmieni się drogi mu przyjaciel w szwagierka najukochańszego?

Dla czegoż wymknęło mu się niebacznie, to słowo fatalne: — katastrofa?... Kto zaś widział tak nazywać podstawę do nowych projektów matrymonialnych! Nie mógł jednak pozbyć się smutnych myśli, pierś przytłaczających dziwnym niepokojem i niepewnością. Wmawiał w siebie, iż co prawda, z razu Gehren zbliżył się do Asty, może i z pewnem wyrachowaniem, licząc na jej miljony; dziś atoli zajmuje się nią coraz więcej, budzi ona w nim co raz żywszą sympatję. Mogłożby stać się inaczej? Mógłżeby człowiek uczuć tak wzniosłych nie ocenić, nie ubóstwić takiej jak Asta istoty najszlachetniejszej?

Jakże się tu kiedyś zarumienił ten zimny na pozór mąż stanu, ten wytrawny dyplomata, gdy Asta podczas Romana odwidzin, weszła przypadkiem do brata saloniku. A innym znowu razem, gdy mu Detlew chciał pokazać w Asty ogrodzie zimowym pyszny egzemplarz palmy, świeżo nabytej i gdy tam zastali Astę z porucznikiem Althaus, który pomagał jej w malowniczem roślin egzotycznych grupowaniu, nawet taki jak Maks niedołęga, wzbudził w nim zazdrość i przeszył go wzrokiem piorunującym. Wczoraj zaś w klubie, dostał mata; on najpierwszy szachista! i od kogo? od majora Krebsa, którego pobijał wiecznie i zawsze! Tylko dla tego, iż Asta przypadkowo, po pod okna przejechała. Tak się zapatrzył, z takim grał następnie roztargnieniem, iż zamiast króla czarnego, koniem, wieżą i królową zamatować, według planu ślicznie obmyślonego, pozwolił sobie sprzątnąć z przed nosa królowę, i ni ztąd ni zowąd wziął mata.

Cóż z Astą? Wiedział tyle, że jest inną niż była, zmienioną nie do poznania, ale dla brata więcej niż kiedykolwiek niedocieczoną. Wzrok jej nie badał, nie szukał jak dawniej; nie było w nim jednak szczęścia odblasku, tylko jakaś smętna i cicha rezygnacja wyzierała z dużych ciemnych źrenic, niby łzą wiecznie zamglonych. Nie unikała wprawdzie Romana towarzystwa. Jeżeli jednak prowadził ją kiedy do kolacji lub do kadryla, a brat ścigał oczami tę parę tak piękną, tak dobraną, z uśmiechem najwyższego zadowolenia, wzrok Asty odpowiadał mu spojrzeniem, podobnem do tego, pełnego żałości, którem matka patrzyła na jedynaka ukochanego, czując śmierć nieubłaganą tuż blisko.

Zapewne... stała dotąd między nimi dwojgiem zaporą, ta Helena nieszczęśliwa, z której dzikiemi pretensjami Gehren obszedł się tak niemiłosiernie. Z tegoby jednak pannie Althaus nic nie przyszło, choćby Roman został bezżennym... Tylko że to...

— Łzy ludzkie szczęścia nie przynoszą! — utrzymywała jeszcze jego stara babunia w kamieniczce z wąskiemi okienkami i dachem szpiczastym. Skoro też przyszła kiedy do niej jaka biedna wdowa zapłakana, oddawała czemprędzej bez pieniędzy, zastawione łyżki srebrne, lub złotą ślubną obrączkę.

Stanęła mu w oczach jak żywa, staruszeczka z twarzą pomarszczoną niby jabłko na Wielkanoc, z oczkami czarnemi świdrowatemi, z peruczką na głowie. Przypomniał sobie nawet krótką hebrajską modlitewkę, za której nauczenie się, tyle zjadał u babci łakotek. I te jej słowa utkwiły mu w duszy:

— Łzy ludzkie szczęścia nie przynoszą!

Fajka tymczasem zagasła. Stracił zresztą gust do wszystkiego! Przepadło jego: *dolce far niente*!

Aj! aj! przecież to jutro Wigilja! Musi jeszcze wydać stosowne rozporządzenia do wieczoru na lodzie i drzewa wspaniałego. Rok rocznie taką zabawą otwierał niejako dla znajomych sezon łyżwiarski, na stawie w parku Löwensternów, obdarzając przytem gości licznie zgromadzonych, pięknemi „na Gwiazdkę“ upominkami.

Gdy dzisiaj jechał do gmachu giełdy w wytwornych sankach rosyjskich, z jakąż tęsknotą i pragnieniem patrzyły na niego, oczka pań i panienek spotykanych; jedna nawet młoda i piękna wdówka, na złość otaczającej ją zgrai adoratorów, skinęła rączką z uśmiechem czarownym, a gdy z sanek natychmiast wyskoczył jej takowe ofiarując z powrotem do domu, rzekła figlarnie:

— Wolałabym jutro spróbować jazdy na twoim stawku baronie!

Na co szarmancko ściskając jej rączkę odpowiedział:

— Czekać będziemy jutro z upragnieniem naszych gości szanownych.

Czyż mógł się cofnąć po takiej obietnicy? Nie! on przynajmniej nie zawiedzie niczyjego zaufania, nie pożałuje drugim i sobie samemu chwil kilku wesoło spędzonych.

Zadzwonił. Kazał przywołać sekretarza, aby natychmiast wygotował zaproszenia i służbie całej wydał rozkazy.

* * *

Nazajutrz, skoro słońce schowało się za wzgórza lasem obrosłe, zaroiło się na stawie Löwensternów, od dam w strojnych kostiumach i panów w paletotach lub krótkich futerkach.

Z szałasu, w guście lapońskim obwieszonego skórami reniferów, odzywała się huczna i dobrana kapela. W chatce na wzór górskich z sosen zbudowanej, buchało płomieniem i sypało iskrami wesołe ognisko. Tam dokładano węgli do licznych samowarów, a służba na srebrnych tacach roznosiła bądź herbatę, z rozmaitemi przekąskami i ciastami, bądź ponczyk wonny i gorący.

Asta ubrana skromnie ale nader elegancko, w kostiumie okładanym prawdziwemi popielicami o długim srebrnym włosie, robiła honory z tym samym spokojem i dystynkcją wrodzoną, jaka ją i w salonie odznaczała. Pani Bertrand w małych saneczkach otulona przepyszną skórą z lamparta, powtarzała bez końca: — *Je suis charmée!*

Detlew ubrany z pewną kokieterją w króciuteńki tużurek i takąż czapkę z prześlicznych popielatych baranków astrachańskich, odbijających doskonale od jego krętych czarnych włosów i oczu płomienistych, zlany perfumami i woniejący niby krzak bzu tureckiego, rzucał się na wszystkie strony, w grzeczności niestrudzony i niewyczerpany. Damom wręczał cudowne bukiety, wiosnę na lodzie przypominające. Mamy i ciotunie prowadził na estradę, lub wsadzał do zgrabnych saneczek; służbę liczną odkomenderowywał, bądź do wożenia sanek, bądź do przypinania łyżew młodym damom i panienkom. Radby był z duszy ożywić zabawę.

Czy jego usiłowania zostaną uwieńczone pożądanym skutkiem? było jak dotąd wątpliwem i bardzo! Rzecz naturalna! skoro panowie ustąpili unisono niemal z placu walki!

Ale za to otoczyli tłumnie murem nieprzebitym wazy srebrne z palącym się rumem, nalanym na całe olbrzymie głowy cukru, zwolna topniejącego. Gospodarzowi nie wypadało ich ztamtąd wypraszać. Młodziutkich zaś trabantów, krążących koło Asty, chcieć od niej odciągnąć, byłoby takiem samem szalonem zadaniem, jak próbować, czyby się igła magnesowa w kompasie nie dała zwrócić ku południowi.

Któż zostawał na pastwę dla całego stadka w kłąb zbitego dziewczątek ładnych i zgrabniutkich, z wdziękami ale bez dźwięków niestety, bez posagu?

Czy może stary i łysy sędzia, trzymający się stanu kawalerskiego, jak pijany płotu, i wycinający w pojedynkę w kącie stawu, pomiędzy zaroślami rozmaite esy floresy na łyżwach? Lub ów gołowąsy poruczniczek, ćwiczący się bezustannie w jeżdżeniu wstecz?

Detlew starał się usilnie bodaj tych dwóch zwerbować tymczasem i posłać na pomoc płci pięknej. Obydwaj wręcz mu odmówili.

— Ciekawym, dla czego ja mam być wiecznie kozłem ofiarnym? — mruknął szorstko cywilista.

Syn Marsa skrzywił się również, jak po gorżkiej pigułce.

— Radbym z duszy pomódz ci, baronie, ale zważ sam, czy mogę odważyć się na coś podobnego? Przejechać się tylko z panną raz po stawie, lub na zabawie przetańczyć z nią dwa razy, oho! już mama i tatko coś wietrzą, już posądzenie, że się pannie głowę zawraca i prośba do pułkownika, żeby niebezpiecznego Lowelasa przenosił gdzie indziej, do jakiej dziury zaklętej, jakby na rekolekcję!

— Oto zysk czysty, naszych tegoczesnych zwyczajów i obyczajów — westchnął Detlew. — Zapraszają młodzież męzką i żeńską jednocześnie, ale chroń Boże! nie wolno się bodaj trochę poumizgać, czas spędzić przyjemnie, chyba że się ma odpowiednią sytuację i zaraz po Wielkiejnocy nosi się z zamiarem dania na zapowiedzi! Doprawdy! stosunki zabijające wszelkie życie towarzyskie!

Umyślił zatem sam siebie oddać pannom na usługi i w tym celu zakreślił zgrabne koło, wpadając pomiędzy łyżwiarki.

Żadna jednak nie zwróciła na niego uwagi. Tu widocznie nie łudzono się wcale szansą wyjścia za mąż, głównie biznes mając na myśli. Jedna chwaliła się:

— Zaraz po Bożem narodzeniu wyjeżdżam do Anglji w roli „gowernes“, tam można zebrać ładny majątek!

Druga opowiadała, ile jej płacą redaktorowie za tłómaczenia i sprawozdania z dziedziny mody. Trzecia spekulowała na *hausse* i *baisse*, jak pierwszy lepszy ajent giełdowy.

Detlew widząc się tutaj zupełnie zbytecznym, zawrócił ku miejscu, gdzie Asta jeszcze ciągle kogoś nowego witała.

— Czy mnie wzrok myli? — szepnął jej na ucho. — Na prawdę Helena Althaus z bratem! No! u tych żałoba zdaje się jechać pociągiem błyskawicznym!

— Nie możesz wiedzieć, czy do pojawienia się tutaj nie mieli głębszych powodów, niż chęć lekkomyślną rozrywki w gronie liczniejszem? — spojrzała mu Asta badowczo w oczy.

Unikał jej wzroku starannie.

— Co mi zresztą do tego! — machnął ręką lekceważąco. — Ni mnie grzeje, ni ziębi!

Skoczył raźno ku nadchodzącym i powitał najserdeczniej:

— Ścielę się do stopek! — podał ramię Helenie.
— Sługa pana porucznika! — uścisnął dłoń Maksa.

— Panie baronie! — podniosła Helena oczy pełne melancholji na niego. — Przecież mi tego za złe nie poczytasz, jeżeli tu w parku państwa, na stawie prywatnym, użyję trochę dla zdrowia ślizgawki?

Spłonął wprawdzie rumieńcem, odpowiedział jednak z tem większą galanterją:

— Ależ czuję się najszczęśliwszym, iż my będziemy pierwsi, którzy panią napowrót do życia powołamy!

Helena wcale jego pomięszania nie zauważyła. Paplała więc dalej jak sroczka wyuczona:

— W serrrcu! — wymówiła r z wielkim przyciskiem, co miało znamionować głębią uczucia — w serrrcu! rana nie tak rychło się zabliźni!... Powietrze świeże jest mi atoli niezbędne..... Powiedz pan szczerze!.... Wszak jestem bardzo zmieniona, bardzo blada?

— Przeciwnie! — zaprotestował Detlew grzecznie. — Wyglądasz pani tak świetnie, iż przy niej Marja de Houtte wydałaby się prostą polną różyczką!

Uśmiechnęła się zalotnie, otwierając usta do stosownej odpowiedzi. Nagle oniemiała, uśmiech tylko zastygł niejako na twarzy, niby maska przylepiona.

— Oho! — pomyślał Detlew. — Skoro u panienki tak gadatliwej język raptem zakołkuje, znakiem iż w jej sercu wybiła dwunasta, czyli że na horyzoncie ukazał się on!... Teraz dopiero będzie na co patrzeć!

Rzeczywiście nieopodal stał Gehren, o pół głowy przewyższając cały tłum. Wzrokiem niespokojnym szukał Asty.

Detlew czuł jak mu serce bić ustaje, gdy Helena czem prędzej łyżwy przypięła i pędem puściła się ku Romanowi. I ten jednak nie marudził; w okamgnieniu wcisnął Halifaksy doskonałe i chyżo jak ptak pomknął po lodzie.

Detlew powiódł wzrokiem za nimi, mrucząc pod nosem:

— Ha, trzeba być na wszystko przygotowanym i... zrezygnowanym!

Poczem jako gospodarz znający swe obowiązki, oddał się ogółowi, tamtych dwoje tracąc z oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Korespondencja redakcji.

Wny R. S. w P. Dziękujemy. Odkładamy na później.
Wna A. L. w J. Wrzuciliśmy do kosza.
Wny J. W. w T. Szkoda czasu.
Wny K. R. w B. Dobre ale nie do „Kwiatów.“
Wny L. K. w N. Rozprawy w sejmie pruskim posłane.
Wna M. N. w H. Teraz nie możemy, może później.

Drukarnia Polska ulica Jagiellońska l. 16 we Lwowie.